

Stanisław Mikke

Dlaczego?

Palestra 48/7-8(547-548), 129-133

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ TOGI



Stanisław Mikke

Dlaczego?

Deficyt rzeczywistych autorytetów, to bez wątpienia choroba naszych czasów. Dotyka wszystkich dziedzin, nie oszczędza żadnych sfer życia społecznego, trudno byłoby znaleźć środowiska, które ominęła. Jeden, największy, zresztą nie do końca wysłuchiwany, nie jest w stanie odwrócić biegu rzeczy.

Kolejne, zaskakujące i ciężkie, kompromitacje znaczących postaci każą patrzeć na reprezentantów najzacniejszych profesji już nie podług zasady ograniczonego zaufania, ale wręcz z coraz większą dozą nieufności.

Jak bez obaw, pytań takich coraz więcej, oddać swoje sprawy lub siebie w ich ręce (tamtych też do czasu wysoko ceniono i obdarzano zaufaniem), czy można być spokojnym, powierzając im – na których zaczynają ciążyć grzechy tego lub owego – najbliższych w potrzebie, i wreszcie, jak zabezpieczyć się powierzając jeszcze innym, czego przecież uniknąć nie sposób, własne dzieci.

Czy zatem pozostaje jedynie ufać, że urodziło się pod szczęśliwą gwiazdą, która świeci także nad członkami naszej rodziny? Cóż tak na dobrą sprawę można zrobić więcej ponad stawianie pytań. Wiedząc, że te pytania nie znajdą dziś, a może i długo właściwej odpowiedzi.

Do pytań, wielu pytań prowokuje wstrząsający artykuł Elżbiety Dziwisz pt. „Skarga Sybiraczki” opublikowany w „Plusie–Minusie” *Rzeczpospolitej* z 21–22 czerwca 2003 roku.

„Jest pani zdrowa jak kobyła, mogłaby pani jeszcze raz jechać na Syberię” – cytuje autorka słowa, jakie usłyszała od lekarza-biegłego Sądu Okręgowego w Opolu siedemdziesięcioletnia kobieta starająca się o rentę na podstawie ustawy z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego, z tytułu niezdolności do pracy związanej z deportacją w 1940 roku do ZSRR.

Nie uznał związku przyczynowego między obecnym stanem zdrowia ciężko doświadczonej kobiety a katogą na północy Związku Sowieckiego ani Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Opolu, ani żaden z trzech orzekających Sądów od Okręgowego do Najwyższego; składowi tego ostatniego, jak pisze dziennikarka, przewodniczyła sędzia „o dużym autorytecie w środowisku sędziowskim”.

Zdesperowana, chora kobieta zdecydowała się, by swój ból, swoją polską krzywdę – czyż nie jest to ironia historii – przedłożyć obcym, z wiarą, że tamci, lepiej niż my, już wolni, rozumieją i przywrócą wiarę w elementarną sprawiedliwość.

Zetknąłem się z bardzo podobną sprawą, z równie niepojętą mieszaniną obojętności, niekompetencji, złej woli i... aż się prosi mocne słowo. Nie przewidywał tego wszystkiego dziś siedemdziesięciosześcioletni były zesłaniec. 10 lutego 1940, tak jak kobieta z reportażu Elżbiety Dziwisz, i jak setki tysięcy Polaków został wraz z rodzicami i rodzeństwem wywieziony na północ Rosji. Powrócili do Polski w 1946 roku z matką, ojca zamęczyło NKWD. Dzieci było sześcioro, dwóch najstarszych synów szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęło zsyłki, do dziś cieszą się znakomitym zdrowiem i mimo osiemdziesięciu lat są czynni zawodowo. Z pozostałej czwórki jedno zmarło w Polsce w młodym wieku wskutek chorób wywołanych mrozem i głodem, troje pozostałych, wśród nich starający się o rentę, jest trwale niezdolnych do pracy.

W 1998 roku były katorżnik wystąpił o rentę do ZUS w Warszawie z tytułu niezdolności do pracy w związku z zesłaniem. Został skierowany do biegłych lekarzy różnych specjalności współpracujących z ZUS-em. Zacytujmy fragmenty opinii zapisanych w kilku, najdalej kilkunastu zdaniach: „brzuch miękki, na obmacywanie niebolesny, bez oporów patologicznych”; „Jaskra dokonana z zanikiem nerwu wzrokowego. Oko prawe nieodwracalnie ślepe. Stan ten powoduje trwałą, całościową niezdolność do pracy (...) Niezdolność ta nie ma związku z deportacją do ZSRR”; „Przewlekła choroba niedokrwienności serca, nadciśnienie tętnicze, miażdżyca, uszkodzenie mięśnia serca z zaburzeniami rytmu (...) Brak jest podstaw do przyjęcia, że wnioskodawca jest choćby częściowo niezdolny do pracy w związku z pobytem na zesłaniu w ZSRR w latach 1940–1946”. I wieńczące niejako orzeczenie specjalisty psychiatry: „Zespół psychoorganiczny, naczyniopochodny (...) Zgadzam się z lekarzem orzecznikiem, że brak jest podstaw do stwierdzenia u (...) niezdolności do pracy, nawet częściowej w związku z pobytem na deportacji”.

Zakład Ubezpieczeń Społecznych odmawia przyznania uprawnień do renty. Ale były zesłaniec ufa sądom wolnej Rzeczypospolitej, tym bardziej, że dysponuje zaświadczeniami lekarskimi innych lekarzy, którzy dochodzą do odmiennych wniosków. Tak dalece ufa, że sam pisze odwołanie, nie mówiąc o sprawie młodszemu o pokolenie swemu krewnemu, adwokatowi. Tymczasem Sąd Okręgowy w Warszawie drastycznie lakoniczne, jedna na granicy czytelności pisma ręcznego, opinie orzeczników ocenia jako „jasne, rzetelne i fachowe” uznając je „za wiarygodne”.

Sprawa przed Sądem Apelacyjnym odbyła się już z udziałem pełnomocnika. W składzie trzy kobiety ze zgaszonym wzrokiem. Znudzenie? Nieprzychylność? – Czy ma pan coś do dodania poza tym, co napisano w apelacji? – pada pytanie przewodniczącej.

Pełnomocnik, którego tożsamość nazwiska z powodem nie była przypadkowa, miał do powiedzenia więcej. Oprócz argumentów *stricte* prawnych również i to, że nie wolno nikomu życzyć doświadczeń, jakie były udziałem zesańca, który jako kilkunastoletnie dziecko był zmuszany do katorżniczej pracy przy wyrębie lasu podczas kilkudziesięciostopniowych mrozów, do życia o głodzie w nieludzkich warunkach, wskutek czego zapadł na malarię, który widział umierającego ojca w otoczeniu urągającym ludzkiej godności, umierającego wskutek okrutnego śledztwa. Ale tym wszystkim, którzy tak lekką ręką wypowiadali kategoryczne opinie bagatelizujące tamte przeżycia, należy życzyć więcej wyobraźni. Wyobraźni, którą pełnomocnik wypełnił konkretną treścią, gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych udał się do miejsca zesłania powoda i jego, a także swojej rodziny. Po przejechaniu tysięcy kilometrów dotarł do miejsca katorgi i tam, od jednego z Rosjan usłyszał, że jest jednym z pierwszych Polaków, którzy przybyli na tę ziemię „z własnej woli, bez kajdan”. Był wtedy pogodny, lipcowy dzień – mówił pełnomocnik. – I wioska, pasiołek wśród bagien i lasów. I wielka rzeka bez mostów odgradzająca pięćdziesiąt lat wcześniej niewolników od wolnego świata. Od Polski. Również tego, tego współczesnego doświadczenia można już życzyć.

Radca prawny jednego z oddziałów ZUS z trudem opanowując zdenerwowanie wnosił krótko o uznanie apelacji za niesłuszną i jej oddalenie. A podczas przerwy w rozprawie podszedł do powoda i jego pełnomocnika oraz przepaszając tłumaczył, że i w tej, tak jak i w innych tego rodzaju sprawach musiał zająć takie stanowisko. Sądy zresztą – mówił odwołując się do swej bogatej praktyki – nie uwzględniają ani wcześniejszych odwołań, ani apelacji, może tym razem będzie inaczej, czego serdecznie życzy. Bo to przecież jawna niesprawiedliwość, wołająca o pomstę do nieba. On zaś prosi o zrozumienie, postępuje nie inaczej, bo tak mu każą.

No cóż, odrywając się na moment od zasadniczego wątku i nie wdając się w rozważania czy można, i czy wolno zrozumieć, wypada zadedykować powyższy fragment tym, którzy z uporem podkreślają brak istotnych różnic w zawodach adwokata i radcy prawnego oraz starają się ukryć pod korcem oczywistą prawdę, że temu pierwszemu nikt i nic kazać nie może.

Po dłuższej naradzie Sąd postanowił uzupełnić materiał dowodowy i zasięgnąć opinii znanej warszawskiej placówki służby zdrowia. I właśnie tam doszło do kolejnej, zdumiewającej to łagodnie powiedziane, odłony. Oto kierownik jednej z klinik, ni mniej ni więcej, tylko zaczął naigrawać się, tak zostało odebrane jego zachowanie, z przybyłego na badanie zlecone przez Sąd. Profesor-lekarz jak refren powtarzał pytanie: – To czemuż pan z tymi pretensjami, jeśli skrzywdzili, nie występuje przeciwko rosyjskiemu państwu?

Na szczęście drugi opiniujący okazał się człowiekiem kompetentnym i przyzwoitym. Wszelkonostronna opinia, którą zapewne on przygotował, nie pozostawiła żadnych wątpliwości. Zaburzenia będące stresowymi, pourazowymi zmianami osobowości po przeżyciu sytuacji ekstremalnej (zespół asteniczny) przy uwzględnieniu chorób krążenia i wzroku czynią badanego całkowicie i trwale niezdolnym do pracy i niezdolność ta pozostaje „co najmniej częściowo w związku z deportacją do ZSRR”.

Sąd Apelacyjny w innym składzie, tym razem z ludzkim obliczem (czyż kiedykolwiek kultura i grzeczność uchybia powadze Sądu?) wydał wyrok korzystny dla poważnie chorego człowieka, po 3 latach od złożenia wniosku. Ile osób nie doczekało lub nie doczeka końca takiej sprawy? A dla ilu wyrok był lub będzie niekorzystny?

Już w 1997 roku, dziś nieżyjący, prof. Adam Szymusik, kierownik Katedry Psychiatrii i Kliniki Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego przekazał Związkowi Sybiraków pismo, w którym przypominał, że jego Katedra od 1959 r. prowadziła badania nad stanem zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych, a od 1989 r. także osób wywiezionych w latach 1939–1956 do Związku Radzieckiego. „Wszystkie te badania – pisał profesor w piśmie, z którym miałem możliwość zapoznać się – wykazują, iż długotrwałe przebywanie w stanie stresu i lęku, w fatalnych warunkach higienicznych, często w głodzie i zimnie, w poczuciu stałego zagrożenia wywołuje nieodwracalne zmiany psychiczne i fizyczne (...) Objawy te nazwane początkowo *astenia progressiva gravis* lub *KZ-Syndrom* zwane są obecnie jako zespół przewlekłego stresu i znajduje się we wszystkich międzynarodowych klasyfikacjach”. Profesor, który był przewodniczącym Międzynarodowej Komisji ds. Inwalidztwa Wojennego postulował, aby osobom, „które doznały represji i posiadają uprawnienia kombatanckie przyznać renty z tytułu inwalidztwa wojennego, bowiem badania tych osób, są pracochłonne i czasochłonne, drogie, często bardzo uciążliwe dla samych badanych, a nawet obrażające dla poszkodowanych”.

Ale nikt nie słuchał tego głosu. Można powiedzieć, że dzieje się wręcz przeciwnie. Z artykułu Elżbiety Dziwisz, z wcześniejszych publikacji i z wciąż nowych przykładów wynika, że topniejąca z roku na rok, z miesiąca na miesiąc garstka pozostałych przy życiu byłych zesłańców jest obiektem bezprecedensowego złego traktowania, które ma w sobie coś nieludzkiego, wręcz prześladowczego.

Dlaczego? W imię jakich racji?

Dziennikarka *Rzeczpospolitej* cytuje dr. hab. Janusza Heitzmana z Katedry Psychiatrii CM UJ: „Rozumiem, że ktoś z ZUS zarabia na życie nie lecząc, lecz orzekając. Już mniej rozumiem, że z taką gorliwością, wbrew wiedzy oraz zasadom etyki pilnuje interesów pracodawcy”. Nie szczędzi słów krytyki prof. Józef Gierowski z tejże samej Katedry, przez wielu uważany za najwybitniejszego polskiego psychologa: „Ta opinia (dot. bohaterki reportażu – przyp. St. M.) i podobne, których znam wiele, są sprzeczne z zasadami deontologii lekarskiej i tej najzwyczajszej – etyki przyzwoitego człowieka (...) Ludzie prześladowani z przyczyn politycznych (a prze-

badalem ich setki) – powiedział *Rzeczpospolitej* profesor – wcześniej się starzeją, częściej chorują, zatrważająco wysoki jest w tej populacji odsetek samobójstw (...) Takie działania lekarzy uderzają w całe środowisko zawodowe”.

Gierowski mówi dalej, że nie potrafi powiedzieć, czemu spośród różnych grup kombatantów akurat sybiracy są gorzej traktowani zwłaszcza tam, gdzie mieszka ich najwięcej, w województwach dolnośląskim, lubuskim, zachodniopomorskim, wielkopolskim i w Łodzi.

Okazuje się, że organy ZUS nie dość, że utrudniają, czy wręcz uniemożliwiają otrzymywanie uprawnień do renty z tytułu inwalidztwa powstającego w związku z zesłaniem, lecz odbierają tym, którzy je otrzymali. Na pytanie dziennikarki skierowane do jednego z lekarzy orzeczników, czy istnieje instrukcja nakazująca cofanie sybirakom tych uprawnień, lekarz ten odpowiedział: „Instrukcji nie ma. Ale istnieje oczekiwanie, że lekarze będą redukować te świadczenia”.

Trudno nie zapytać: Kim są ci, którzy takie oczekiwania formułują? Jakimi to motywami kierują się? Czyżby dbałością o finanse państwa, które byli zesańcy mogą „uszczuplić” w jakimś nikłym, nic nie ważącym stopniu? Jak to się dzieje, że poplecznicy tamtych mocodawców, niektórzy lekarze zwani orzecznikami działają latami bezkarnie? I w końcu: jak to możliwe, że niezawisłe sądy często sankcjonują te oburzające praktyki?

Wcześniej czy później na te pytania zostaną udzielone odpowiedzi. Nie należy wątpić, że powstanie praca, która to zjawisko, tu zaledwie dotknięte, opisze w skali całego kraju. Można przypuszczać, że będzie to jeden wielki akt oskarżenia.